

"WYBRAŁAM BYCIE MOTŁOCHEM..."

Z Siostrą Małgorzatą Chmielewską rozmawia Grzegorz Chrzanowski OP

GRZEGORZ CHRZANOWSKI OP: Jesteśmy w domu należącym do wspólnoty "Chleb Życia"¹. Jest to dom wspólnoty religijnej, a jednocześnie ośrodek pomagający osobom bezdomnym. Co to jest wspólnota "Chleb Życia" i jak powstała?

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA: Wspólnota "Chleb Życia" ("Pain de Vie") powstała we Francji, a założona została przez dwa małżeństwa konwertytów. Wokół tych małżeństw, które od chwili nawrócenia chciały dosłownie żyć tak jak pierwsi apostołowie, zaczęli się gromadzić ludzie z marginesu społecznego. Jeden z założycieli to były narkoman, malarz, który dzięki swojemu nawróceniu ocalił życie. W założeniu wspólnota jest Ludem Bożym adorującym Chrystusa w Najświętszym Sakramencie i usiłującym żyć Ewangelią. Jest wśród nas miejsce dla wszystkich członków Ludu Bożego: dla rodzin, ludzi wybierających celibat, kapłanów, ubogich, dzieci, a także dla tych, którzy nie są powołani do ścisłego życia wspólnotowego, ale jako osoby stowarzyszone ze wspólnotą żyją w świecie jej ideami. Takie osoby nie składają ślubów, tylko przyrzeczenia, część z nich mieszka również ze wspólnotą. Jest to jakby powołanie wewnątrz powołania. We wspólnocie są również pustelnicy, ludzie, którzy bardziej poświęcają się modlitwie.

Jaki jest charyzmat wspólnoty, jakie są Wasze najważniejsze idee?

Charyzmatem wspólnoty jest życie z ubogimi i torowanie im drogi do Jezusa, do bezpośredniego spotkania z Jezusem. Tak jak Jan Chrzciciel, który jest patronem wspólnoty, chcemy wskazywać na Chrystusa. Ludzie, którzy do nas przychodzą, to alkoholicy, prostytutki, narkomani, bezdomni, dzieci z ulicy, ludzie chorzy, nosiciele wirusa HIV. W zależności od kraju wspólnota poświęca się najbardziej z biednych. Mogą to być - jak na przykład w Kanadzie - ludzie z gett kolorowych czy mieszkańcy slumsów, w Peru są to skazani na wymarcie Indianie, w Kamerunie są to więźniowie albo kalekie dzieci porzucane na ulicy, trędowaci w Nigerii. W jednym z krajów afrykańskich pracuje brat, który sam będąc kaleką na wózku, poświęca się kalekim dzieciom z ulicy, próbuje zbierać je, najpierw leczyć, a później, jeśli to możliwe - uczyć zawodu, zapewnić jakąś możliwość egzystencji.

Sama nazwa "Chleb Życia" wskazuje na szczególny kult Eucharystii. Adoracja Najświętszego Sakramentu zajmuje ważne miejsce w naszej duchowości. Całe nasze życie duchowe - jak również pośrednio życie materialne, ponieważ większość naszych domów siłą rzeczy musi utrzymywać się z Opatrzności, nasza praca nie wystarcza - jest skoncentrowane na Eucharystii. Wierzymy, że poprzez adorację Najświętszego Sakramentu, bezpośrednio spotkanie twarzą w twarz z Panem Jezusem potrafimy jakby żyć Jego życiem i patrzeć na ludzi tak jak On patrzy. Szczególnie na ludzi cierpiących, najpierw oczywiście wzajemnie na samych sobie. To jest cały sens naszego życia.

Z chwilą, gdy założyciele wspólnoty postanowili żyć Ewangelią, biorąc ją dosłownie i bardzo na serio, zaczęli się wspólnie modlić. Już wtedy zaczęli do nich przychodzić ludzie, którzy szukali spotkania z Chrystusem i pragnęli modlitwy - szukali prawdy, której nie mogli znaleźć w oficjalnych strukturach. Wtedy także zaczęły się nawrócenia wśród ludzi z marginesu: alkoholiczków, narkomanów, prostytutek. Ponieważ założyciele początkowo nawrócili się na chrześcijaństwo, nie należąc do żadnego istniejącego wyznania, zaczęli szukać Kościoła, do którego mogliby się przyłączyć. Jeden z nich, Pascal

Pingault, wybrał się w podróż i spotkał Małych Braci Karola de Foucault. Wtedy to, nie mając jeszcze pojęcia o adoracji Najświętszego Sakramentu, przeżył wizję wspólnoty na spotkaniu z Jezusem w Eucharystii. Zrozumiał, czego Pan Bóg oczekuje od wspólnoty, a znakiem potwierdzającym było to, że kiedy wybrał się do miejscowego biskupa, ten wysłuchał go, a następnie przyjął wspólnotę do Kościoła katolickiego i udzielił jej zezwolenia na przechowywanie Najświętszego Sakramentu w domu.

Pascal i jego żona byli już wcześniej ochrzczeni, ale drugie małżeństwo założycieli, nie mając pojęcia o sakramentach, a chcąc okazać posłuszeństwo słowom Ewangelii, ochrzciło się... w wannie. To ślepe posłuszeństwo Duchowi Świętemu w ich życiu, absolutna prostota i zaufanie Bogu, wiara w to, że Pan Bóg prowadzi ich krok po kroku, zaowocowało tym, że przyszli do Kościoła katolickiego, że zostali przyjęci, że wspólnota mimo swoich rozmaitych wad i słabości trwa i rozwija się. To jest po prostu znak Opatrzności i wielkiej łaski.

Czy aby mieszkać w domu prowadzonym przez wspólnotę "Chleb Życia", trzeba w jakiś sposób do niej przynależać?

Ludzie, którzy do nas przychodzą, nie mają obowiązku być członkami wspólnoty. Prowadzimy różnego rodzaju ośrodki pomocy, lecz jedynie w domach wspólnoty, które nastawione są na apostołstwo wewnętrzne, trzeba w pewnym momencie napisać list z prośbą o możliwość pobytu. Chodzi o to, aby dana osoba była świadoma tego, że przychodzi do wspólnoty katolickiej. Nie musi ona być katolikiem, ale chodzi o wyrażenie chęci bycia we wspólnocie katolickiej, aby to nie był przypadek. Oczywiście, przyjmuje się także ludzi, którzy takich podań nie piszą. Ci, którzy mieszkają z nami, są proszeni o obecność na jednej z modlitw oraz o respektowanie regulaminu domu, to znaczy nieużywanie alkoholu, nieużywanie przemocy, akceptowanie zasad życia wspólnoty (na przykład, że tylko małżeństwa mieszkają razem) i o szacunek dla naszych przekonań religijnych, to znaczy o nieobrażanie tego, co dla nas jest najdroższe, i o niegłoszenie na terenie domu poglądów sprzecznych z naszą wiarą. Takich ludzi jest bardzo dużo i nie są oni członkami wspólnoty. Bywa, że żyją z nami przez całe lata i jeśli po jakimś czasie ktoś chce zostać na dłuższy okres lub na zawsze, a jednocześnie wspólnota widzi, że nie jest on w stanie sprostać wymogom, jakie się stawia jej członkom, dostaje status "ani" ("anawim" znaczy po hebrajsku "ubodzy"), to jest członka rodziny, który nie ma jednakże takich zobowiązań, jak inni należący do wspólnoty. Chodzi o to, aby ci ludzie, którzy mieszkają z nami przez całe lata, mieli poczucie, że nie mieszkają poza obrębem jakiejś ścisłej grupy, ale że są również członkami naszej rodziny.

W jaki sposób wspólnota trafiła do Polski? Jak Ty się z nią spotkałaś?

Kilka lat temu założyliśmy z Tamarą i Maćkiem Rayzacherem dom dla bezdomnych kobiet w B. Już wtedy miałyśmy kontakt ze wspólnotą "Pain de Vie", bo szukałyśmy na Zachodzie jakiegoś modelu. Adres dostałam w Polsce i razem z Tamarą pojechałyśmy do Belgii, aby zobaczyć, jak funkcjonują takie domy dla bezdomnych kobiet. Tam spotkałyśmy żonę Pascala Pingault i pojechałyśmy do nich, do Francji. Stopniowo kontakty zaczęły być coraz bliższe. Pascal przyjechał do Polski, w Krakowie u dominikanów miał konferencję, to było w listopadzie 1989 roku. Na pewno dostałyśmy ten adres opatrznosciowo.

Skąd to zainteresowanie pracą z ludźmi marginesu społecznego? Sama nie wywodzisz się z tego środowiska, skończyłaś studia...

Zdecydowanie moja rodzina nie była rodziną z marginesu. Dla mnie życie z Panem Jezusem to troska, aby inni też mogli Go spotkać, i aby innym było co najmniej tak samo dobrze jak mnie. Można to realizować na różne sposoby, ja wybrałam tę metodę, która wydawała mi się słuszna, to znaczy trzeba najpierw z ludźmi żyć tak jak oni, przyjść do nich i zejść do nich, być razem z nimi. Dopiero później przez to, kim się jest, przez mój osobisty związek z Bogiem można im pokazać drogę do Niego i jednocześnie bardzo konkretnie pomóc.

A dlaczego margines? Chrystus mówił wyraźnie, że droga do Niego wiedzie poprzez ubogich. Po prostu ubogi to Chrystus. Dla mnie nie ma innej drogi do Boga, jak dostrzeżenie Chrystusa w człowieku ubogim. Być może inni widzą to odmiennie. Dla mnie osobiście wszystko inne jest nieprawdą. To znaczy, jeśli ja chcę rzeczywiście naśladować Chrystusa, jeśli Ewangelia jest dla mnie prawdą, to jest to jedyna droga, żeby tę prawdę wcielić w życie. Szukałam prawdy, a jeśli znalazłam ją w Ewangelii, to dalej musiałam już być konsekwentna.

Próbowałam wstępować do różnych zgromadzeń zakonnych i zawsze na mojej drodze stawał człowiek potrzebujący i z tym człowiekiem absolutnie nie mieściłam się w ramach danego zgromadzenia. Tak było na przykład z próbą wstąpienia do benedyktynek, kiedy to spotkałam ogromnie zaniedbane dziecko, które - jak okazało się po latach - bez mojej pomocy byłoby skazane na margines. Tak było również z Małymi Siostrami Karola de Foucault, kiedy okazało się, że moja wizja służenia drugiemu człowiekowi wykraczała poza regułę zakonu. To nie jest ich wina, to jest zgromadzenie kontemplacyjne, które nie jest nastawione na bezpośrednią pomoc. Ich wyjście do innych, bliskość z nimi, nie przekracza pewnych granic. Kiedy przebywałam w Ostrowcu Świętokrzyskim, poznałam umierającą przez dziewięć miesięcy samotną staruszkę, której nikt nie chciał, nawet własna rodzina. Nocowałam u niej prawie przez cały tydzień. Fakt, że nie wracałam na noc, chociaż wiadomo było, gdzie jestem, był dla siostr bulwersujący. Podobnie fakt, że utrzymywałam kontakty, wręcz przyjaźniłam się głęboko i próbowałam pomagać osobom, które w tamtejszej opinii uchodziły za osoby zaplątane w różne kłopoty, szokował siostry. Odeszłam ze zgromadzenie Małych Sióstr, zresztą dopiero po ukończeniu moich ślubów czasowych, a więc absolutnie zgodnie z prawem i tłumacząc jasno, że nie neguję samej idei zgromadzenia, tylko to nie jest moja droga. Wydaje mi się, że było to uczciwe postawienie sprawy. Nie można było wymagać od tamtych sióstr takiego spojrzenia, jakie ja miałam, bo było ono po prostu inne. Nie lepsze i nie gorsze, ale inne.

Dla mnie wszelkiego typu formalistyczne spojrzenie na drugiego człowieka - my jesteśmy pobożni i lepsi, a oni to jest ten motłoch - było zawsze odrażające. Po prostu w pewnym momencie wybrałam bycie motłochem i jestem nim do tej pory.

W Ewangelii powraca pochwała ubóstwa, ubodzy w duchu są błogosławieni, Jezus utożsamia się z ubogimi i potrzebującymi. Myślę, że trzeba sobie jasno uświadomić, że ludzie, którzy są na marginesie społeczeństwa, nie są marginesem Kościoła, nie pozostają gdzieś na jego obrzeżach. W tym sensie granice Kościoła nie pokrywają się z granicami społeczeństwa. Ewangelia jest adresowana do ludzi ubogich, ubogich nie tylko materialnie, ale moralnie i duchowo, do chorych, którzy potrzebują lekarza. Tymczasem ubogich traktuje się także jako margines Kościoła, pokazując, że sami są winni swojego ubóstwa, albo że się niemoralnie prowadzą.

I bardzo często tak się prowadzą. Ale trzeba także zapytać, jak się prowadzą ludzie Kościoła. Pewna część tak zwanych dobrych katolików prowadzi się równie niemoralnie, tylko albo mieli szczęście i

byli na tyle sprytni, że tego nie widać na zewnątrz, albo są na tyle zakłamani, że nie potrafią się do tego przyznać. Rzeczą wspaniałą u większości ludzi, których spotykamy, jest to, że oni nie udają. Żyją w prawdzie, dobrze wiedzą, jacy są: że są grzeszni, że są alkoholikami, prostytutkami, że są bezdomni, że często bezdomność jest przez nich zawiniona. Przyznają się do tego, że im się życie nie udało. Bardzo boli mnie fakt, że oni nie potrafią zobaczyć w Kościele miłosierdzia Chrystusa, gdyż jest ono za mało pokazywane.

Pamiętam taką scenę w kościele w B., kiedy wszyscy przyszliśmy w niedzielę na Mszę świętą. Usiedliśmy w ławkach, a ksiądz w kazaniu mówił do swojej trzódki, żeby - broń Boże! - nie utrzymywać kontaktów z pijakami i prostytutkami. Chodziło o to, aby dobra i pobożna trzódka nie utrzymywała kontaktów z nami... Tymczasem duża część tamtejszych parafian zaraz po Mszy bywała całkowicie pijana, wiele można by też powiedzieć o ich prowadzeniu się. Podziwiałam moich mieszkańców, że w tym momencie kazania nie wyszli z kościoła. Kiedy sama tłumaczyłam proboszczowi, że ubodzy są błogosławieństwem Kościoła, nie mógł tego zrozumieć. To on na tym stracił, nie my. Z pewnością mogło na tym zyskać życie parafii. Ale do tego potrzeba pewnej dojrzałej świadomości chrześcijańskiej, o którą wcale nie jest tak łatwo. Nie potępiam ani tego księdza proboszcza, ani mieszkańców jego parafii, ale nasza społeczność katolicka jest jeszcze za mało świadoma własnej wiary. Myślę, że w sumie jednak w B. nie było tak źle. Oprócz kilku ekscesów polegających na obrzuceniu domu kamieniami i stłuczeniu szyb, mieliśmy tam również przyjaciół, naprawdę dobrych i życzliwych ludzi.

Przed trzema laty przenieśliście się z B. do Warszawy. Jak wygląda obecna sytuacja wspólnoty "Chleb Życia"?

Przenieśliśmy się do Warszawy, ponieważ gmina Ochota dała nam do użytkowania opuszczony, zrujnowany budynek. Otrzymaliśmy nawet pieniądze na remont. Zaczynaliśmy w koszmarnych warunkach, remont trwał pół roku, ale praktycznie od pierwszej chwili musieliśmy przyjmować kolejnych bezdomnych. Zgłaszały się tłumy. Ludzie spali na podłodze, a nawet w łazience, mieliśmy tylko trzy pokoje, nie było światła ani wody. Doszło do tego, że życie tutaj było już nie do wytrzymania. A my mamy taką zasadę, że nikomu nie odmawiamy noclegu z powodu braku miejsc. Nikt z nas nie miał już swojego łóżka, nikt nie wiedział, gdzie mieszka. Przychodzili ciężko chorzy, kobiety z chorobami wenerycznymi, z zaburzeniami psychicznymi, z chorobą alkoholową. Oni wszyscy nie mogli być razem, choćby ze względu na dzieci. Trzeba było szybko otworzyć noclegownię. Od gminy Wola (z którą do dziś świetnie się współpracuje) dostaliśmy kolejny budynek przy ulicy Stawki, ale szybko zdaliśmy sobie sprawę, że jako nieliczna wspólnota nie jesteśmy w stanie zapewnić funkcjonowania takiej noclegowni. Cały czas trzeba być z ludźmi, nie można zostawić noclegowni bez opieki. Poza tym w takim miejscu musi być jednak lekarz i pielęgniarka, dlatego że większość bezdomnych nie ma ubezpieczenia i nie może być leczona w uspołecznionej służbie zdrowia. Zarząd miasta dał nam pieniądze na etaty. Po raz pierwszy w swojej historii wspólnota zatrudnia do prowadzenia swoich domów pracowników z zewnątrz. Ten eksperyment wypadł bardzo dobrze. Także koszty eksploatacji budynku opłaca gmina Wola. Cała reszta: wyposażenie, wyżywienie, lekarstwa i samo prowadzenie noclegowni spoczywa na wspólnocie.

Skąd bierzecie na to wszystko pieniądze? Są to przecież olbrzymie sumy.

Gotówką obracamy w bardzo niewielkim stopniu. Przed świętami zarząd miasta dał nam pieniądze na zakupy i to wystarczyło jeszcze na długo po świętach. Dostajemy dary, ale nie są to dary z zagranicy.

Oprócz naszego księdza proboszcza, który co jakiś czas pomaga nam materialnie, nie dostajemy od Kościoła, jako instytucji, nic. Natomiast uważam, że wiele dostajemy od Kościoła jako wspólnoty, bo przecież ci, którzy z nami się dzielą, to ludzie ochrzczeni. Nawet jeśli dają urągając "tym wszystkim próżniakom i babom, co to się puściły i mają teraz pięcioro dzieci, a oni ich muszą utrzymywać". Bywa że ładując nam, na przykład, pojemniki z mięsem - zdarzyło się to jednemu ze współbraci - wyrzekają na swój ciężki los i na to, że "muszą utrzymywać tych nierobów". Oczywiście, nie muszą, tylko koniec końców chcą! Robią to, bo nie mogą odmówić drugiemu, potrzebującemu człowiekowi, nie mogą się nie podzielić! I oni są również Kościołem, uważam więc, że my od Kościoła dostajemy.

Jak traktują Was ci, do których zwracacie się z prośbą o pomoc? Co otwiera Wam drzwi - czy to, że pracujecie dla ubogich, czy też ludzie miękną, gdy widzą Cię w habitcie?

Załatwiać jedzenie jeździ kolega, który nie nosi habitu. Nie śledzę jego metod, ale myślę, że ludzie dają, bo mają poczucie, że obok nich są biedni, którym trzeba pomóc. Kiedy po raz pierwszy zajechaliśmy do piekarza z ulicy Grójeckiej - był piątek wieczór, a my nie mieliśmy chleba - mówi: "Siostró, przepraszam, ale ja już daję na siostry Matki Teresy z Kalkuty i na sierociniec." Odpowiedziałam, że wobec tego to ja przepraszam, bo faktycznie nie mamy już prawa niczego od niego się domagać. A on: "Ale przecież jutro jest sobota, to nie mogę was tak puścić." No i dał nam ten chleb wtedy i daje niekiedy aż do dziś. Żyjemy po prostu dzięki ludzkiej dobroci, która wypływa na pewno z chrześcijańskiej formacji, jaką to społeczeństwo posiada. Inaczej nie bylibyśmy w stanie utrzymać stu osób dziennie.

Czy zauważasz jakąś pozytywną zmianę w oficjalnym nastawieniu Kościoła, w porównaniu choćby z proboszczem z B.? Czy możemy mówić o opcji na rzecz ubogich w Kościele polskim? Czy wśród księży znajdujecie zrozumienie dla Waszej idei?

W naszej parafii na pewno tak. Ogromne! Niedawno nasz ksiądz proboszcz sam otworzył jadłodajnię dla ludzi potrzebujących. Mieliśmy nawet ją prowadzić, ale później okazało się, że nie możemy się tego podjąć ze względu na otwarcie trzeciego domu wspólnoty. Wyszło to tylko na dobre, ponieważ znaleźli się w parafii ludzie, którzy robią to może nawet lepiej niż my. Zajmuje się tym Legion Maryi. Sądząc z homilii księdza proboszcza i jego stosunku do nas, myślę, że cieszymy się jego wielką życzliwością i przyjaźnią. Proboszcz parokrotnie mówił z ambony, że tu jesteśmy, i mówił to z wyraźną aprobatą, co oczywiście natychmiast zmienia nastawienie parafian. Jeden z byłych wikarych tej parafii, przeniesiony już w inne miejsce, do dziś przychodzi i odprawia u nas Mszę świętą. Ostatnio ksiądz proboszcz parafii, na terenie której znajduje się nasz dom dla bezdomnych matek, zaoferował nam konkretną pomoc. Wielokrotnie chrzczył dzieci, nie biorąc oczywiście żadnych pieniędzy. Były to zbiorowe chrzty, po siedmiu dzieci na raz. Jeśli chodzi o kapłanów, ci, z którymi mamy do czynienia, są nam bardzo przychylni, a jeśli są inni - to po prostu nie mamy z nimi kontaktu. Jest ksiądz pallotyn, który zupełnie bezinteresownie odprawia co tydzień Mszę w noclegowni na Stawkach. Niedawno byłam u ks. biskupa Romaniuka (być może otworzymy dom na terenie jego diecezji) - przyjął nas bardzo życzliwie, deklarując wszelką pomoc, która leży w granicach jego możliwości. Myślę, że wiele się zmieniło i na pewno będzie się zmieniać nadal.

Jest to z pewnością jedna z takich dziedzin, gdzie obecność Kościoła jest bardzo potrzebna. Można w ten sposób złożyć naprawdę żywe świadectwo o Bogu i o Ewangelii, ale przede wszystkim realnie pomóc tym ludziom.

Myślę, że to świadectwo ludzie odbierają bardzo pozytywnie. Przychodzą do nas często przedstawiciele środków masowego przekazu, w większości niekatolickich. Zwykle nie odmawiam - uważam, że jeśli można publicznie w telewizji i do wielkiej grupy ludzi mówić otwarcie o Panu Bogu, o tym, czym żyjemy, to nie wolno stracić takiej szansy. Zawsze jednak zastrzegam i informuję, że jestem katoliczką i siostrą zakonną i że w takiej roli będę występować, innej roli nie pozwolę sobie narzucić. Dostaję listy, czasem przedziwne, od czytelników i słuchaczy. Dziękują nam, że jesteśmy, że pewne rzeczy zostały powiedziane. Nigdy nie prosimy o pieniądze, nie podajemy numeru konta i nie zdradzamy naszego stanu materialnego, który zresztą jest oczywisty. Zdarza się jednak, że po takich audycjach czy artykułach w prasie ludzie wspomagają nas finansowo. Po jednym artykule o naszej działalności, drukowanym chyba w "Przyjaciółce", jakaś czytelniczka ze Stanów Zjednoczonych przysłała nam 300 dolarów i zadeklarowała, że przeznacza corocznie 300 dolarów na nasz dom. Nie chodzi tutaj nawet o pieniądze. Chodzi o to, że było to wezwanie do dzielenia się, do gestu zatroszczenia się. Takich sytuacji jest więcej.

To ważne, że w takich sytuacjach uruchamiają się w ludziach wielkie zasoby dobroci. Ludzie widzą, że nie są najbogatsi, ale mają świadomość, że tym, co mają, mogą podzielić się z kimś, kto jest jeszcze biedniejszy.

Dzielenie się ogromnie ludzi cieszy i zaczyna być modne wśród bogatych, tych, którzy stali się bogaci od niedawna. Warszawski "Rotary Club" - międzynarodowa organizacja zrzeszająca lokalny establishment, przedstawiciele biznesu i elity intelektualnej - wydatnie nam kiedyś pomógł. Kiedyś, na poświęcowym bezdomnym kongresie w Nottingham spotkałam pana Olgierda Budrewicza. Moje przemówienie bardzo mu się podobało i zaoferował swoją pomoc. Rok temu zadzwonił, żebym przyszła natychmiast - byłam wtedy w jakimś amoku, habit cały upaprany dziecięcym jedzeniem - na spotkanie "Rotary Clubu" i opowiedziała o tym, co my robimy. Przyszłam, powiedziałam i efekt był taki, że członkowie klubu, którzy tego samego dnia mieli zaanonsować jakiś bal w jednym z ekskluzywnych lokali, po moim przemówieniu nie ośmielili się tego zrobić. Odłożyli to na następny tydzień. W styczniu tego roku dostaliśmy zaproszenie na wielki koncert w filharmonii, niezwykle elegancki, z udziałem orkiestry dyrygowanej przez Kazimierza Korda, a część dochodów została przeznaczona na nasze wydatki. "Rotary Club" włożył ogromny wysiłek w zorganizowanie tego koncertu, a więc nie były to pieniądze, które im łatwo przyszły. Jest ważne, aby ludzie bogaci mieli świadomość, że są ludzie biedni i potrzebujący - wtedy zaczynają się dzielić.

W Kościele dają się zauważyć dwie przeciwne postawy. Z jednej strony, mamy do czynienia z pochwałą ubóstwa, z - niekiedy jedynie teoretycznym - odcięciem się od bogactwa; a z drugiej - z uzasadnianym różnymi potrzebami bogactwem Kościoła czy raczej niektórych jego przedstawicieli. Myślę, że tutaj należy coś przełamać. Pokazać, że pieniądze nie zawsze śmierdzą, że ekonomia nie jest sprawą diabelską, że tak funkcjonuje nowoczesne społeczeństwo. Trzeba, żeby tam znalazło się miejsce na Ewangelię.

Spółeczna nauka Kościoła mówi wyraźnie o obowiązkach pracodawcy w stosunku do pracowników. Na co dzień mamy do czynienia z wieloma nadużyciami w tej dziedzinie. Zatrudnianie bez ubezpieczenia ludzi znajdujących się w potrzebie i biorących jakąkolwiek pracę, byleby tylko zarobić pieniądze, podawanie fałszywych danych dotyczących ich zarobków po to, aby obniżyć koszty ubezpieczenia, niesprawiedliwe wynagradzanie za bardzo ciężką pracę, zwalnianie bez odprawy... W tej chwili są to rzeczy nagminne i one wychodzą od członków Kościoła - katolików, którzy w niedzielę

przychodzą na Mszę z poczuciem całkowitej niewinności. My natomiast mamy do czynienia z ludźmi, którzy są wykorzystywani i nie można na to zamykać oczu.

Z drugiej strony, zdarza się niekiedy, że nasi mieszkańcy są na bardzo dobrych warunkach zatrudniani przez właścicieli sklepów, przedsiębiorstw, z pełną świadomością, kogo się zatrudnia; są opłacani sprawiedliwie, z ubezpieczeniem itd. Jednak ogromna większość to przypadki negatywne. Uważam, że wypowiedzi Kościoła przypominające o etyce pracy powinny być bardzo mocne.

Pytanie z innej beczki. Czym jest dla Ciebie bycie z tymi ludźmi? Traktujesz ich jak przyjaciół czy jak ludzi, z którymi pracujesz?

Nie można być przyjacielem stu osób w sensie bliskich relacji. Niemniej, we wszystkich naszych domach bywają również bardzo bliskie więzy. Jesteśmy zaprzyjaźnieni z większością ludzi, którzy są u nas dłużej. Po prostu ja ich naprawdę lubię i myślę, że jest to dwustronne. Relacje na co dzień muszą być normalnymi relacjami ludzi żyjących pod jednym dachem i są często bardzo głębokie. Inaczej nie dałoby się żyć. Chodzi przede wszystkim o wybaczenie własnych słabości. Ja także je mam i wiem, że jeśli narozrabiam, to będzie mi to wybaczone - tę świadomość mają tutaj wszyscy. Do wielu z tych ludzi jestem przywiązana i ich kocham. Z pozostałymi łączy mnie wspólny los, wszyscy jesteśmy biedni i musimy walczyć o życie, walczyć przede wszystkim o siebie.

Ci, którzy do Was trafiają, to nie są ludzie, którzy chcieliby pogłębić swoje życie religijne, ale kierują nimi potrzeby materialne. Czy traktują pobyt u Was jako formę przetrwania, czy jest to jednak wynik jakiegoś wyboru?

Początkowo chodzi im z pewnością o przetrwanie. Ci, którzy do nas przychodzą, nie robią tego dlatego, że jesteśmy wspólnotą katolicką, tylko dlatego, że nie mają gdzie mieszkać i nie mają co jeść. Dlatego nasze nastawienie jest różne w zależności od domu. Na przykład w noclegowni nie dajemy mieszkańcom żadnych zobowiązań natury religijnej. Oprócz Mszy świętej, która pełni bardzo ważną funkcję, ale jest absolutnie nieobowiązkowa, nie ma tam wspólnej modlitwy. Nie ma żadnych zewnętrznych oznak życia religijnego, co jednak nie oznacza, że takiego życia nie ma. Zdarza się, że szereg osób po jakimś czasie, poprzez przyjaźń z nami, to, kim jesteśmy i co robimy, zaczyna się zastanawiać nad własnym życiem, porzuca alkohol, przyjeżdża tutaj na adoracje Najświętszego Sakramentu. Nie możemy tam wymagać jakichkolwiek oznak religijności, ponieważ wówczas stworzyłaby się sytuacja fałszywa. Ludzie czuliby się zmuszeni do uczestnictwa w modlitwie, mimo iż nie doznają takiej potrzeby. Traktowałiby to jako opłatę za nocleg, co natychmiast zaciemniłoby obraz.

Podobnie jest w domu dla matek z dziećmi. Staramy się przede wszystkim wpływać na wzajemne stosunki tam panujące. Rozmawiamy z tamtejszymi mieszkankami i poprzez refleksję nad własnym życiem, nad życiem całego domu staramy się wprowadzić pewne wartości, uczymy dzielenia się, wybaczenia sobie wzajemnie, służenia sobie. Rozwiązując codzienne problemy w duchu wartości chrześcijańskich, naprowadzamy na pewien tor myślenia o drugim człowieku i jest to skuteczne. Może nie od razu i nie ze wszystkimi, ale generalnie jest to skuteczne. Świadczy o tym chociażby historia starszej, poważnie chorej na nogi pani, która przyszła do nas bardzo zbuntowana i była bardzo trudna. W tej chwili regularnie odwiedza w szpitalu chore mieszkanki, pociesza je, troszczy się o ich potrzeby. Zupełnie bezinteresownie i z dobrej woli opiekuje się dziećmi w noclegowni. Robi to z

ogromnym wysiłkiem, bo jest jej ciężko chodzić, niekiedy prawie płacze z bólu. Ona jest na pewno bliższa Panu Jezusowi i Kościołowi niż niejeden z nas, mimo że przyszła z daleka w sensie moralnym.

Ludzie, którzy mieszkają w tym domu, przychodzą już ze świadomością, że będą proszeni o próbę pewnej postawy, to znaczy przynajmniej o obecność raz dziennie w kaplicy. Nie modlitwę - ta nigdy nie może być wymuszana - ale o obecność. O uczestniczenie w tworzeniu domowej atmosfery, a jest to bardzo duże wymaganie.

Wspominałaś już o kilku zasadach, które kierują Waszym wspólnym życiem: aby nie używać alkoholu, nie stosować przemocy. Czy są jeszcze jakieś inne?

Mamy trzy podstawowe zasady. Nieużywanie przemocy słownej i czynnej, to znaczy wulgarności i przemocy fizycznej, jak również przemocy psychicznej. W środowisku ludzi bezdomnych łatwo tworzą się stosunki więzienne, gdzie silniejsi wykorzystują słabszych. Na to szczególnie zwracamy uwagę. Nie alkohol, nie kradzieże, nawet nie przemoc fizyczna, ale znęcanie się psychiczne jest tym, czego nie tolerujemy w żadnym z naszych domów. Jeżeli zostanie to wykryte i udowodnione, osoba winna opuszcza dom na zawsze, bez prawa powrotu.

Praca z ludźmi z marginesu wymaga dużej stanowczości; życie tutaj jest twarde, a niekiedy - mam wrażenie - nawet brutalne. Sam byłem świadkiem kilku scen, kiedy sypały się ostre słowa ze strony przełożonych, a nawet z ust osoby, która ze mną teraz rozmawia i jest siostrą zakonną. Widziałem, jak jeden chłopak wyleciał z hukiem bez prawa powrotu do domu.

Trzeba żyć w prawdzie, to znaczy - trzeba ludzi traktować poważnie. Trzeba ich brać takimi, jakimi są, nie robić sobie złudzeń, że oni są inni, lepsi czy święci. Oni są często zdemoralizowani, uzależnieni, niekiedy po prostu niedobrzy. Tak jak my wszyscy. Wyrzucenie nigdy nie jest natychmiastowe, nikt nigdy nie został wyrzucony na bruk bez próby przywołania go do porządku. Tak było tylko raz i wtedy chodziło po prostu o sutenerstwo. Nie w przypadku, o którym mówiłaś, tamten chłopak wrócił. Jeżeli Pan Bóg ma cierpliwość do nas, to i my, zaczepiwszy się o Niego, musimy mieć cierpliwość do tych ludzi. Nie tak łatwo wraca się z bardzo daleka... Nawet jeśli dokonano się jednorazowe, gwałtowne nawrócenie, to jeszcze pozostają wieloletnie przyzwyczajenia. Łaska bazuje na naturze, trzeba lat, żeby zmienić nawyki, których się nabierało od dzieciństwa. Jeśli ktoś był wychowywany w domu dziecka, w zakładzie poprawczym czy w więzieniu, to on nie może nie przeklinać co dwie minuty, bo on nigdy w życiu inaczej nie mówił! Po prostu nie jest w stanie - i z kolei, jeżeli ja zacznę czułe przemówienia w stylu: "Syneczku kochany, może byłbyś uprzejmy pozamiatać" - oczywiście próbuję na początku - to do niego nie dociera, a jeśli powiem: "Do jasnej cholery, albo pozamiatasz, albo cię wypierdolę!" - to na ogół bywa to skuteczne, bo on rozumie wtedy, co do niego mówię. Kiedyś, kiedy nawymyślałam dziewczynom od kurew, pierdolonych zresztą - nie mówię tego często, ale czasami mnie ponosi - to one dobrze wiedziały, że miałam rację i natychmiast zrobiły, co do nich należało. Później usłyszałam taki komentarz wypowiedziany pod nosem: "Siostra może nam tak ubliżać, bo siostra nas kocha." Ale trzeba pamiętać, że ci ludzie mają swoją godność i nie wolno ich znieważać.

Inną bardzo ważną zasadą jest to, że kiedy do nas przychodzi człowiek, mówimy mu, iż jego przeszłość się dla nas nie liczy, i nie pozwalamy mu o niej zbyt długo opowiadać. Są tacy, którzy się delektują tym, że są niedobrzy. Jeśli mają na to ochotę i opowiedzą raz - my nigdy o to nie pytamy - na tym jest koniec. Nie wolno mówić na temat tego, co się działo w więzieniu, jak to było dobrze, gdy się piło, jak to było dobrze, gdy się puszczało. Mówimy im - i chcemy, żeby to była prawda - że mają

tu szansę zacząć życie od nowa i że to nie jest melina, tylko normalny dom. W domu nie ma alkoholików, prostytutek i złodziei - są normalni ludzie. Na ogół to jest skuteczne, nasi mieszkańcy bardzo dbają o wizerunek domu na zewnątrz. Gdy ktoś narozrabia poza domem, to nie my, tylko cała reszta mieszkańców jest na to oburzona i sami się rozprawiają z winnym. Oni nie chcą mieszkać w burdelu, oni chcą mieszkać w domu i to jest niesamowite.

Trzeba jednak postawić bariery i bez owijania w bawełnę powiedzieć ludziom, w którym miejscu są: "Ty jesteś alkoholikiem", albo: "Przepraszam cię bardzo, moja panienko, jak to? - mówisz, że nie jesteś kurwą, no przecież się puszczałaś. Bądźmy prawdziwi, albo byłaś dziwką, albo nie byłaś. Puszczałaś się? - Tak. No to byłaś dziwką." To nie oznacza, że ktoś musi pozostać taki do końca życia, ale niech nie rżnie damy i nie udaje świętej. "A że ktoś inny jest dziwką?... Ale tyś nią była tak samo i czas z tym skończyć, bo proszę, do czego to prowadzi. Na przykład tu, na tym łóżku, umarła zapita na śmierć kobieta, inna wróciła po raz kolejny na dworzec, a była jedną z najbogatszych kobiet w Warszawie, ma chorobę weneryczną trzeciego stopnia, zaburzenia psychiczne i mimo to pije nadal - mimo naszych wysiłków - aż się zapije na śmierć! Komuś innemu urżnięto głowę w kanałach itd. Proszę, masz wybór! Tu jest szansa, ale jako człowiek wolny możesz wybierać. My ci możemy pomóc, ale wybrać musisz ty."

Czy znana jest liczba ludzi bezdomnych w Warszawie? Jaka jest skala tego problemu? Ilu ludzi mieszka w kanałach i na dworcu?

Przez noclegownię na Stawkach przewinęło się około tysiąca kobiet i dzieci. Część z nich to mieszkanki dworca. Część wraca na dworzec, a potem co jakiś czas przychodzi do nas. To są osoby, które mają niewielkie szanse - po ludzku rzecz biorąc, oprócz cudu - na wyrwanie się z różnego rodzaju uzależnień, i noclegownia służy do tego, żeby mogły podleczyć się, przespać w normalnych warunkach, w łóżku, żeby mogły się wymyć i zjeść. A czasem chodzi tylko o to, żeby godnie umrzeć - niedawno, dosłownie parę godzin przed śmiercią przyszła pewna osoba, dzięki nam umarła nie na dworcu, tylko w łóżku, jak człowiek. Udało nam się uratować życie wielu osobom, choć były w stanie przedagonalnym, dzięki temu, że zgłosiły się do nas i uzyskały szybką pomoc lekarską.

Trudno jest określić liczbę bezdomnych. Do Warszawy ściągają bezdomni z całej Polski; atrakcyjne są wielkie dworce, a ponadto istnieje tu większa możliwość przeżycia, istnieją różne ośrodki, kuchnie darmowe itd. Wielu ludzi zrozpaczonych przyjeżdża do Warszawy, poszukując mieszkania i pracy. Podawane są bardzo różne liczby, w większości chyba zawyżone. Moim zdaniem, w tej chwili nie ma ich więcej niż - wliczając mieszkańców różnych ośrodków - około trzech tysięcy. Trzeba jednak pamiętać, że jest to już efekt kilkuletniej, rzetelnej pracy. Dzięki niej wielu ludzi już wyszło ze swojej bezdomności, ale napływają ciągle nowi.

Ważną sprawą jest zapobieganie bezdomności. To jest kwestia przepisów prawnych, na przykład zajęcia się wychowankami domów dziecka. Jesteśmy w trakcie postulowania pewnych zmian przepisów prawnych, które skazują ludzi na bezdomność. Jednym z takich przepisów jest możliwość wymeldowania lokatora w nieznaną i brak meldunku. Wystarczy, że pół roku nie mieszka się w miejscu stałego zamieszkania, i można być wymeldowanym w nieznaną, po prostu na podstawie stwierdzenia głównego najemcy. Ustawa o pomocy społecznej jest tak sformułowana, że dotyczy wyłącznie mieszkańców danej gminy. Jeżeli człowiek nie ma stałego miejsca zamieszkania, nie ma prawa do zapomogi, nie ma prawa do rejestracji w urzędzie pracy, nie ma praktycznie prawa do szpitala, bo szpitale są rejonowe. Bezdomny nie ma prawa do domu pomocy społecznej, bo jest

rejonizacja. Dziecko nie ma prawa do szkoły i do przedszkola, ponieważ jest rejonizacja. Nie mówiąc już o tym, że jeżeli bezdomny umrze, to która pomoc społeczna go pochowa, jeżeli nie jest to mieszkaniem danej gminy? Mieliśmy kilka takich przypadków. Bezdomny jest wyjęty spod prawa. Nie ma praw do uzyskania meldunku czasowego, chociaż niektóre urzędy rejonowe idą nam na rękę i meldują czasowo, po to, żeby ludzie bez stałego miejsca zamieszkania mogli podjąć pracę. Przecież jeśli pracodawca chce kogoś zatrudnić, to nie zatrudni człowieka bez meldunku, bo nie ma gdzie wpłacać za tego człowieka podatku i ZUS-u. Są to rzeczy, które uniemożliwiają powrót do normalnego życia, a niekiedy absolutnie przekreślają życie. Nawet jeśli jest samotna matka z dzieckiem (niekiedy z dwojgiem czy trojgiem dzieci), której należałoby udzielić mieszkania, jeśli nie ma stałego meldunku, która gmina da jej mieszkanie? - żadna! To są osoby całe życie skazane na margines.

Wielokrotnie mówiliśmy o tym posłom i radnym, ale nie jest to problem, który by ich interesował. Dopiero, gdy udowodnimy, że bezdomni nie mają prawa do głosowania - a jeśli zliczyć, to jak się szacuje jest ich około 300 tysięcy i może to być grupa, która, na przykład, przeważa o zwycięstwie w wyborach jakiejś partii - problem zaczął docierać do świadomości polityków. Jeśli matka nie ma stałego zameldowania, to automatycznie jej dziecko rodzi się bezdomne i nie ma żadnych szans na nic.

Niekiedy ma to jednak swoje dobre strony. Jeżeli kobieta jest maltretowana przez męża pijaka, którego jakimś cudem udało się zamknąć do więzienia, i jeśli uda się go wymeldować, to gdy znów pojawi się w mieszkaniu, ona może wezwać policję i usunąć dziada-pijaka z domu. Mamy takie przypadki. Nie dalej jak przedwczoraj, Bogu dzięki, jeden pan był uprzejmy umrzeć, co uwolniło pewną kobietę od wieloletniej walki o rozwód i o dziecko, tak że może wrócić do swojego mieszkania, które cały czas było jej własnością. On siedział w mieszkaniu i pił, a ona była u nas razem ze swoim dzieckiem.

Powróćmy na koniec do spraw duchowych. Każdy człowiek ma jakąś swoją duchowość, coś go szczególnie porusza, cytaty z Ewangelii, bądź jakaś idea czy myśl. Co charakteryzuje Twoją duchowość?

Ja wierzę w światło w człowieku. Wierzę, że w każdym człowieku jest światło zmartwychwstania i że przez naszą ciemność Chrystus próbuje się uporczywie przebić. Bardzo ważna jest dla mnie scena Sądu Ostatecznego, gdy Pan Jezus mówi: "Byłem głodny, a daliście Mi jeść" - i nie pyta tych ludzi, czy są wierzący czy nie, nie pyta o dogmaty, nie pyta o przynależność religijną. Nie pyta również: "czy byłaś prostytutką, czy byłeś narkomanem, czy byłeś biskupem?" - przepraszam, że zestawiam w takiej kolejności. Żyję z pełną świadomością, że tylko przez przypadek to nie ja znalazłam się na dworcu, i wcale nie jest powiedziane, że któregoś dnia się na tym dworcu nie znajdę. Właśnie światło zmartwychwstania Chrystusa i Jego słowa ze sceny Sądu pozwalają mi kochać moich współbraci, którzy tak jak ja nie są święci - i ja, i oni robimy czasem głupstwa. Gdy jednak widzę, jak niezwykle rzeczy potrafią robić, dawać z siebie wszystko i wcale przy tym nie uważać się za świętych, jak niekiedy w środku nocy jadą do noclegowni i tam zajmują się brudnymi, zawszonymi i chorymi... Myślę, że to jest to światło - bardzo konkretne światło. Wspólnocie "Chleb Życia" przyświeca wiara w to, że nie ma ludzi straconych. Dla nas nawet jeśli człowiek umiera w upojeniu alkoholowym, ale ściska krzyż, to nie oznacza, że on nie pójdzie do nieba. Być może pójdzie najprędzej, bo jego walka była trudniejsza niż tego, kto nie miał tego uzależnienia.

Dziękuję Ci serdecznie za rozmowę.

Z siostrą Małgorzatą Chmielewską rozmawiał Grzegorz Chrzanowski OP